Ner 23. Kraków 11 września 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

O WYCHOWANIU KOBIET.

I.

Nie dawniéj, jak w miesiącu maju, w czasie pobytu mojego w Wenecji, siedząc w kącie salonu „*Victoria*," przysłuchiwałem się rozmowie dam rozmaitych narodowości, któréj treścią był los kobiet w Europie. Mówiono o położeniu ich w każdym kraju mniéj więcéj niezadawalającém; a przyczyn tego dochodząc, poruszano wiele interesujących kwestji. Wiecież czemu wszystkie te panie przypisywały niezadawalający stan kobiet w ogóle? Oto — *brakowi wychowania*. Angielka widziała ich mnóstwo w wychowaniu kobiet angielskich; Francuzka w swoich więcéj jeszcze; Włoszka, Niemka, Polka — wszystkie!



POLOWANIE NA WILKA Z CHARTAMI (układ i rysunek Kossaka).

Spostrzeżenia były trafne, krytyka — doskonałą! ale gdy przyszło do zaradzenia złemu — krzyżowały się zdania, porozumienia nie było . . . i z mnogości zdań utkwiło mi jedno pewnéj matrony włoskiéj, utrzymującéj, że winą złego jest: fałszywe kształcenie serca w kobiecie i całkowite zapomnienie o głowie.

„Paczemy serca, zły dając kierunek uczuciom; rozum zostawiamy mężczyznom, jak gdyby nam całkowicie nie był potrzebny.... i dzieje się téż, że kobieta nie waży w społeczeństwie; a jako taka, słusznie że do ogólnego rachunku prawie nie wchodzi. — Gdybyśmy nie były matkami — kończyła — to mężczyzni skazaliby nas na wymarcie!..."

Przemówienie to staruszki wywołało żwawą dyskusję pomiędzy kobietami, które nie mogąc zgodzić się z sobą, zwróciły się ku mnie, sędzią w swym sporze mianując.

— Szanowne panie! — odpowiedziałem wezwany. —

Przebaczcie, że podzielę zdanie Pani P... Tak jest! głównym niedostatkiem w wychowaniu kobiet jest: skrzywienie uczuć, i — muszę wypowiedzieć — niemal całkowite pomijanie drogi rozumu. Zgoda, że większość mężczyzn niechętnie przypuściłaby kobiety do prac poważniejszych; że chętniéj widzi w nich tylko upięknienie własnego życia.... Niemniéj jednak zaspakajać to kobiet nie może i — nie powinno. Natura nie odosobniła nas całkowicie! Mężczyznie nie dała tylko głowy, jak serca wyłącznie kobiecie. Jedno i drugie jest nam wspólne; a jeśli mężczyzni zbyć serca nie mogą pod grozą zostania rozumnemi zwierzętami, tak téż i kobiety rozumu zrzekać się na naszą korzyść nie powinny, jeśli nie pragną, by je spotkało to, co dziś spotyka. Kobieta stworzoną jest dla miłości, ale nią *wszystko* obejmować powinna. Rozumem kierować się obowiązek mężczyzny, niemniéj jednak o sercu pamiętać musi. Narzekacie panie na swe położenie, szczupły zakres czynności wydzielili wam mężczyzni... Ale czy innym podołać byłybyście w stanie?... Czyją winą? mężczyzny! Tak, lecz i kobiety zarazem. Wszakże i w was istnieją ducha potęgi, i w was tkwi iskra bożego gienjuszu... a więc słabość niech mocnéj woli ustąpi miejsca! Chciejcie *być!* a wszystkim lepiéj z tém będzie. *Piękno, prawda i dobro*, niech je jak w ognisku skupi kobieta w swém sercu! obejmie je gorącem uczucia, przeniknie się niemi na wskroś — a odzyska miejsce przynależne jéj w społeczeństwie; porówno z nami dojdzie do używania praw przysługujących człowiekowi!“

Zapewne nie powiedziałem nic takiego, coby nie było znane tym paniom, i słów moich nie powtarzałbym na tém miejscu, gdyby one nie miały mi służyć za materjał do niniejszéj korespondencji.

Chociażbym miał spotkać się z mianem nudnego pedagoga i narazić sobie czytelniczki, wypowiem: co mi leży na sercu!

Pragnę pewnéj rzeczy: okropnéj, przerażającéj, jeżeli nie bezbożnéj nawet: równouprawnienia kobiet, czyli tak zwanéj, ich *emancypacji*. Uważam ją za niezbędną dla ogółu kobiet, a Polek w szczególności; wiążę z nią przyszłość naszą.

Czém jest kobieta u nas? wiemy wszyscy. Czém być powinna? wiedzą najmniéj — same kobiety.

Poeci lubują się w porównaniu kobiety do kwiatka. Jest ona nim — w młodości: o najświetniejszéj barwie, cudnéj harmonji kształtów, upajającéj woni... Ale kwiatek więdnie, usycha, zostaje zeń tylko łodyga... i w tém jest złe, które naprawić powinniśmy! Nie kwiatkiem, ale niechaj kobieta nasza będzie wspaniałą rośliną!.... Niechaj przestanie być *snem*, stawszy się rzeczywistością!... z czarującéj *piękności* niechaj stanie się człowiekiem — oto czém chcemy, by kobieta nasza była! — Ma i życie swoją poezję; więcéj jéj w czynie, aniżeli w marzeniu; więcéj w realnéj prawdzie, aniżeli w snach najczarowniejszych.

Kobieta nie jest tylko kochanką, żoną i matką... Nie dla uprzyjemnienia tylko życia mężczyznie stworzoną... Ona jest jeszcze *człowiekiem;* a jako taki ma prawa wyrównywujące prawom mężczyzny! ma i równe tym obowiązki! Prawem jéj: *życie!* nie u krosien tylko i przy kolebce; ale w całéj jego pełni, tam gdzie sięgają zdolności kobiety. Obowiązki jéj, wkraczając w dziedzinę obywatelstwa, określają sobą stanowisko kobiety-człowieka.

Macierzyństwo — główne, najświętsze powołanie kobiety. Matka, wychowawczyni rodu ludzkiego, najgłębszy hołd odbiera... lecz nie wszystkie kobiety mogą być i są matkami. A i samo macierzyństwo nie wyklucza całego szeregu czynności nie odłącznych od *obywatelskiego* powołania kobiety. *Żona, matka* i *obywatelka*—oto *trójca* uwidomiająca się w kobiecie-człowieku! tu pełnia jéj życia!... Na trzech tych poważnych stanowiskach, czynnościami swemi świadczy kobieta — o ile wypełnia swe posłannictwo.

Śmiem utrzymywać, że dzisiejsze wychowanie kobiet naszych czyni niepodobném, by każdemu z trzech tych powołań godnie odpowiedzieć mogły.

W wychowaniu kobiet naszych zaznaczam następujące braki: 1) nie zrozumienie rozumnego przeznaczenia kobiety; 2) fałszywy kierunek nadawany uczuciom; 3) nie uwzględnianie potrzeby rzeczywistego jéj wykształcenia.

Baczną zwracając uwagę na wszystko, nauczycielem w szkołach żeńskich będąc, zbliska przypatrzyłem się wychowaniu kobiet, i mniemam że dostrzegłem *rzeczywisty* brak takowego.

Obyczajność, pobożność, pracowitość — oto, co bywa zalecane młodym dziewczętom naszym. Wiele to, ale nie wszystko! Dość dla bierności — mało dla czynu. Z tém istnieć można, ale *żyć* niepodobna! Rodzące się uczucia przygłuszać — o tém myślą; lecz dać im wyraz rozumny, nauczyć trzymania ich na wodzy i dania właściwego kierunku — o to nikt się nie stara. Z zawiązanemi oczyma wprowadzają w świat kobietę, a gdy spadnie opaska — uderzy ją widok rzeczy, których ani zna, ani wie do czego służą! I otóż klęska, wieczyste szamotanie się ducha, ustawiczny gwałt zadawany najszlachetniejszym uczuciom; walka w wyborze pomiędzy złem i dobrem, i nie wola zeznawczo, ale najczęściéj zbieg okoliczności rozstrzyga o winie lub niewinie kobiety.

Zapytajmy żon, czy wiedzą jakie są ich powinności? Zapytajmy matki o to. Odpowiedź dadzą nijaką... bo im nie mówiono o tém wszystkiém w świat je puszczając; bo wykształcenie ich tak jest powierzchownem, jak nieświadomemi siebie czynności, które złożyć się mają na późniejsze ich życie.

Mówią dziewczynie: „Dobrą bądź!“ ale ją dobrą nie uczynią. „Kochaj, pracuj, poświęcaj się — bądź aniołem!“ Ależ anielstwo nie przybywa na zawołanie! Ono musi być w tym, w kim chcemy — by było! I otóż grzech śmiertelny w wychowaniu naszych kobiet! Nie dając zeznania

czynności, robią je automatami . . . i chcą następnie, by wychowania pozbawione, wychowywały pokolenia! I wyrzutami obarczają błądzące, nie uwzględniając, że nieświadomemi są dróg po których idą; że dopiero życie uczy je rozróżniania złego od dobrego, a doświadczenie najczęściéj przychodzi zapóźno! . . .

Jak widzicie panie! temat poruszony przezemnie jest za obszerny, bym go wyczerpał w pobieżnéj korespondencji. Dotknę go jeszcze niejednokrotnie . . . a teraz rzucę tylko szkic robót, jakie winny być przedsiębrane, jeśli w istocie pragniemy reformy w wychowaniu kobiet.

Czynność pierwsza: by, wbrew dotychczasowéj praktyce jawnie wskazywano kobiecie: co ją czeka w przyszłości? do jakich gotować się ma obowiązków? Nauczcie: co złem, a co jest dobrem? Dajcie kobietom *przekonanie*, a troska o zgorszenie niechaj was odstąpi.

Nie szczebioczące ptaszęta, lecz dajmy społeczeństwu myślące istoty w kobietach; zapatrujące się na życie poważnie, nie przez obsłonę ułudnéj tajemnicy! Nauczmy je miłować, ale i *sądzić* zarazem. Bez zeznania niemasz istot rozumnych; a nie dajemy go kobietom naszym. Powierzchowna znajomość rzeczy w błąd wprowadza; a my *nauki* skąpimy niewiastom! . . . Sposobmy je do życia praktycznego. Niech zezna swe człowieczeństwo kobieta! Niechaj w społeczeństwie zajmie przynależne jéj miejsce! Niechaj zabierze głos w sprawach wspólnych tak kobietom, jak mężczyznom! Odmawiając kobietom kształcenia *obywatelskiego* -- nie zbudujemy przyszłości.

Nie każda kobieta jest żoną i matką, a czemże takie są dzisiaj? Istotami najnieszczęśliwszemi! a dlatego jedynie, że nie umieją jąć się tysiącznych dróg czynności, które im poza macierzyństwem zostały. Skazujemy je dziś na bezczynność, gdy wybornemi mogłyby być: nauczycielkami dzieci, lekarzami, urzędnikami w właściwym zakresie . . . . Marnujemy siły, które z pożytkiem użyćby się dały, postępowi służąc. Sami wywołujemy złe a narzekaniom nań miary nie ma!

Znamy jeden tylko kierunek w wychowaniu tak kobiet jak i mężczyzn: *realny*. Nie wyklucza on serca, nie robi krzywdy rozumowi, i jedynie prowadzi do dobrobytu. Zapoznanie tego kierunku zgubne wywołuje następstwa, które od wieków dają się nam uczuwać dotkliwie. Naprawa złego w naszéj mocy! Chciejmy tylko naprawy! A innéj tu drogi nie ma, jak tylko reforma wychowania kobiet. Od niéj zależy wszystko! *Pięknoznawstwem* kształćmy *serca*, *naukami* wzbogacajmy *rozum* — oto nasza powinność! Cuda — w naszéj mocy, w dobréj woli naszéj! Poza tém — nie ma nic!

Lwów, 30 sierpnia 1869 r.

P. St.

SONATA ŻYCIA

przez **Wł. Łada.**

(Ciąg dalszy).

IV. FINALE.

Ciemną puszczę zalegli dokoła,
Rozniecili z gałęzi ogniska;
Znaném hasłem na czatach straż woła,
Tutaj kosa, tam bagnet połyska.

Gdy ojczyste żegnali ustronie,
Jeden mówił: idziecie zawcześnie;
Drugi pytał: gdzie wodze? gdzie bronie?
Trzeci mówił: Europa we śnie.

Oni poszli — bezbronni, z nadzieją,
Jak szedł Dawid naprzeciw Goliata;
Bo wierzyli, że krew, co wyleją,
Z lichwą wróci wszechmocny pan świata.

Druga zima swym płaszczem ich słoni,
A żniwiarze ojczyzny najszczersi
Z serca gromów — z rąk nie dali broni:
Śnieg, ni wicher nie zmroził ich piersi.

Czarne burki złożyli na śniegu,
A na burkach bladego młodziana;
On w najpierwszym dziś walczył szeregu.
Na czamarce... jak wstęga rumiana,

Jakby order... rubinem oświeca
Pierś szlachetną młodego wojaka.
To nie order, nie wstęga kobieca —
Moskiewskiego to postrzał żołdaka.

Kiedy z sioła wychodzili rankiem,
Moskal, w ciemnéj ukryty gęstwinie,
Nieprzejrzanym opasał ich wiankiem...
Chwila jeszcze — a oddział zaginie!

Kul zdradzieckich tysiące wypadły,
Strzał armatni grobowo zajęknął,
Najdzielniejszym oblicza pobladły:
Oddział — duszą przed Bogiem uklęknął.

Wtedy młodzian, z okrzykiem rozpaczy
Skoczył naprzód... za nim dzielne kosy.
Jak grom runął pomiędzy siepaczy,
Jak grom miotał połyski i ciosy.

Wtem, śmiertelną porażony strzałą
Padł, jak Samson pod gruzem świątyni...
Przybiegł hufiec, porwał drogie ciało,
I w lesistéj gdzieś zniknął pustyni.

(Dokończenie nastąpi).

LITWINKA.

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,

w trzech Aktach,

napisał *F. Łoziński.*

(Ciąg dalszy).

AKT II.

SCENA I.

ZAREMBA, JAN.

Zaremba. Wydobyłeś broń, nie zepsuła się? tak długo w ukryciu leżała. Spodziewałeś się ty stary mój towarzyszu, że my jeszcze bronią bawić się będziemy?

Jan. Ha, taka znać wola Boża! I stara i młoda krew do ojczyzny należy; przelewaliśmy ją po całym świecie, to i resztki jéj możemy przelać na mogiłach ojców naszych.

Zaremba. No, zadaleko zaszedłeś mój stary, na konia przecież nie wsiądziemy — gdyby to w szeregi, ha! możeby jeszcze sił i odwagi starczyło; ale partyzantka, gonitwa po lasach, to już nie dla nas. Służyć będziemy radą i doświadczeniem; właśnie w tym względzie mam ci dać kilka poleceń.

Najpierw oczyść i przygotuj broń. Moją szablę i pistolety dam Stasiowi, a twoje zostawię dla siebie; w takich wypadkach dobrze mieć broń pod ręką.

Wychodząc, powiedz dzieciom, że czekam tu na nich; od domu daleko nie odchodź, bo będziesz potrzebny.

Jan. Dobrze panie.

SCENA II.

ZAREMBA *(sam).*

Tak mnie to nagle zaskoczyło, że myśli porządnie ułożyć nie mogę, a jednak potrzeba wszystko dokładnie urządzić, interesa uporządkować, bo z takim wrogiem należy się przygotować na wszelki przypadek.

SCENA III.

ZAREMBA, ZOSIA, STANISŁAW.

Zosia. Czy się co stało ojczuniu?

Zaremba. Stają się teraz, moje dziecko, ważne dla nas wszystkich wypadki; o nich właśnie chcę z wami pomówić z rozwagą.

Stanisław. Lękam się téj poważnéj rozmowy, żeby się jakie ale nie znalazło.

Zaremba. Z mojéj strony już się ono nie znajdzie. Opierałem się waszym zamiarom, dopóki w mojém przekonaniu miałem do tego słuszne powody. Lecz kiedyście mi sprawę Polską w innén niż ja sądziłem, przedstawili świetle, kiedy dziś widzę że jéj błyska światełko zbawienia, łączę się z wami w wspólnéj ofierze i złożę na ołtarz ojczyzny wszystko co mam.

Zosia. Jaka to chluba takiego mieć ojca.

Zaremba. Nie przeszkadzaj mi. Pojmujecie: że kiedy starzec taki jak ja oddaje wszystko co w długiém życiu było jedynym celem jego najtroskliwszych zabiegów, kiedy poświęca dzieci tak dobre i zacne jak wy, które są mu nagrodą poczciwego życia, pociechą i szczęściem ostatnich dni . . . *(rozczula się).*

(Zosia i Stanisław całują jego ręce).

Tak, moje najdroższe dzieci! byłem już u zenitu ojcowskiego szczęścia! miałem nadzieję widzieć wkrótce, jak sobie własne uścielecie gniazdka; cieszyłem się, że ustaliwszy wasz los, złożę spokojnie do mogiły moją siwą głowę, że mi zamkniecie oczy, które ostatniém spojrzeniem pożegnają w pokoju was, których tak bardzo kochałem.

Stanisław. Zanadto grobowo przedstawiasz sobie ojcze tę sprawę, na wojnie nie wszyscy przecież giną, mam nadzieję, że niedługo kolana twoje uściskam, jako zwycięzca.

Zaremba. Daj to Boże! Jako ojciec gorąco prosić będę Boga aby mi ocalił ciebie, lecz rozum i doświadczenie odbierają tę nadzieję, a stawiając przed oczy skutki téj waszéj wyprawy, zniewalają do poczynienia odpowiednich uwag i kroków.

Mówiłem: że kiedy jako prawy obywatel, co mam najdroższego oddam, chciałbym, żeby ta wielka ofiara moja była rzeczywiście pożyteczną krajowi, i ażebym ból serca, a nawet rozpacz, łagodzić mógł myślą, że spłacam tém dług winny ojczyźnie i przyczyniam się do jéj oswobodzenia. Najpierw dług ten spłacam tobą, mój synu! podnieś ducha do wysokości méj myśli, i zważ dobrze, czy masz siły do tak ważnego i trudnego zadania. Wojna, straszny to i krwiożerczy potwór, a ta na którą ty się wybierasz, straszniejsza nad wszelkie obrazy; nadewszystko w naszym kraju i z takim wrogiem jak Moskal. Moskale, to dzicz barbarzyńska, w któréj nie dopatrzysz śladu ludzkich uczuć, u nich nie znajdziesz pardonu i miłosierdzia, jeśli nie zginiesz z bronią w ręku, zamordują cię okrutnie! Musisz więc zwyciężyć lub umrzeć, innego środka nie ma! Tu winienem ci zrobić jeszcze jedną uwagę. Wobec trudów tułaczego życia po śmierć, może niejeden z was upadnie na duchu i porzuci sztandar, którego nie zdoła bronić dla braku sił i odwagi. Synu! taki postępek na wojnie nazywa się odstępstwem i zdradą — to podłość! Jeden tchórz lub zdrajca więcéj tu zaszkodzi, niż pomoże dziesięciu mężnych.

Synu mój! gdybyś zginął w boju, ciężką to byłoby dla mnie boleścią, i pewno dni moje skróciło; ale gdybyś tu, do mnie wrócił jako zbieg lub zdraj-

ca, takiéj hańby nie przeżyłbym ani chwili, a może i tobie przeżyć nie pozwolił!

Zosia. Stasiu mój, ja nie wiedziałam że to taka straszna ta wojna.

Stanisław. Ja przyznaję, że nawet na myśl nie przychodziły mi takie poważne obrazy. Dobrze jednak zrobiłeś ojcze, przedstawiając mi je tak żywo; dałeś poznać całą wielkość sprawy i wzbudziłeś żywszą chęć poświęcenia się.

Zaremba. Zgruntuj jednak dobrze swoje myśli i serce, i jeżeli posłyszysz tam chociaż jeden tonik fałszywy, cofnij się póki czas, bo wolałbym widzieć w tobie tchórza niż zdrajcę!

Stanisław. Pewny jestem siebie i postanowienia nie zmienię.

Zaremba. Niech więc dzieje się wola Boża! Idź synu gdzie cię serce i powinność woła. Jak skończemy mówić przyjdź do mnie, dam ci mój pałasz. Dostałem go w spuściznie po naszych dziadach, szanuj go, i gdyby cię nieszczęście spotkało, rozumiesz mnie, połam go a wrogowi nie daj.

Stanisław. Będzie moim talizmanem, i tylko śmierć wydrzeć mi go potrafi.

Zaremba. Teraz pomówmy o Zosi.

Zosia. A ja na co się tu przydam, ojczuniu?

Zaremba. Zaraz, zaraz. Jeżeli to prawda że cały kraj powstał i że nam obce mocarstwa pomogą, ha! w Bogu nadzieja że się pozbędziemy Moskali. Lecz jeżeli te nadzieje zawiodą, Moskwa was wymorduje naprzód, a potém mścić się będzie nad waszemi rodzinami: zagrabi mienia, a nas na niewolę lub tułactwo skaże.

Stanisław. To niepodobna, żeby się tak okrutnie mścić mieli.

Zaremba. Co tylko nazywa się dzikością i barbarzyństwem, w Moskalu traci niepodobieństwo, Moskwa po każdém zadrgnięciu narodu ścieśniała pęta kajdan, i teraz jużby jéj tylko po naszą kieszeń, swobodę myśli i uczuć sięgnąć pozostało: i ręczę ci, odważy się na to!

Szkic humorystyczny W. S.



Chłopak. Pan majster kłania się i prosi pana . . .
P. Dłużnicki. Kłaniaj się również majstrowi i poproś go żeby mi jeszcze jedną parę skredytował.

Przewidując to, uregulowałem nasze interesa. Ty Zosiu wybieraj się w drogę, jutro Jan odwiezie cię do ciotki, mieszka ona o parę wiorst od galicyjskiéj granicy, zkąd łatwo będzie ocalić się w ostatniéj potrzebie.

Zosia. Ojcze, zmiłuj się, ja nie pojadę; to nie zbawieniem ale męczarnią byłoby dla mnie! Znając teraz całą przerażającą okropność téj wojny, drżąc o życie twoje ojcze, Stasia... powiedz czémby tam była dla mnie każda chwila? umarłabym z żalu i obawy!

Zaremba. Możesz-że przypuszczać, żebym mniéj kochał ciebie niż ty mnie kochasz? I dla mnie rozłączenie to będzie przykrém, przykrzejszém może niż dla ciebie; bo przed tobą całe życie i nie jedno może szczęście; dla mnie starego, ty jedyną pociechą i szczęściem, zwłaszcza gdy mnie i Staś opuszcza. Choć więc oboje cierpieć będziemy, odjechać musisz.

Zresztą troska o ciebie krępowałaby nam ręce w działaniu.

Stanisław. To jedź ojcze z Zosią.

Zaremba. Mój synu, ja stać będę na progu téj chaty jak żołnierz na wyłomie. Pod tą strzechą urodzili się nasi przodkowie, ściany jéj uświęcili cnotą; popioły ich spoczywają na naszym cmentarzu, a duchy zapewno i w téj chwili patrzą na serca nasze. Chatę i pola te dostałem od nich w spuściznie, więc ich będę strzedz do śmierci, czy ta z rąk Boga, czy z katowskich wroga nadejdzie.

Zosia. Więc ty ojcze gotujesz się na śmierć w tym świętym dla nas przybytku, Staś idzie może także na śmierć, a mnie chcesz ojcze zrobić wyrodkiem, żądasz: bym ocalając życie, zostawiła was tu samych w strasznéj godzinie? O nie, ojcze! ty mnie tak nie poniżysz, nie zadasz tak wielkiéj boleści! A gdybyś mnie zmusił do wyjazdu, przysięgam: że powrócę natychmiast piechotą.

Zaremba. Spodziewałem się tego, po was, moje dzieci drogie, wiedziałem, że nie cofniecie się przed żadną

ofiarą, a przewidując konieczność tychże, nadewszystko możebny smutny koniec powstania, chciałem was odwieść od niego.

Pojmujecie teraz, po tém, co wam powiedziałem, dlaczego my starzy, stawiamy opór waszym młodym niedoświadczonym głowom i sercom. Wy młodzi, dajecie tylko wasze życie, my — los całych rodzin, mienie, was dzieci! Nadto jeszcze i moralną odpowiedzialność przed Bogiem, sumieniem i krajem, za was i za całą sprawę.

Lecz kiedyśmy już postanowili oddać się na ofiarę ojczyznie, spełnijmyż to szczerze i z godnością.

No Stasiu, żegnaj się z siostrą, dam ci broń i idź w imię Boże; u Władysława już na ciebie czekają.

Zosia *(z płaczem)*. Bracie mój kochany! nie dziw się łzom moim, ja słaba dziewczyna, idziesz na wojnę, boję się o ciebie. My tu z Manią modlić się o szczęście dla ciebie będziemy.

SCENA IV.

ZOSIA *(sama)*.

Teraz dopiero pojmuję ważność całéj sprawy, wielkość poświęcenia: wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo, może nawet śmierć. Skutek wątpliwy, a jakież wielkie ofiary!

To straszne! czyż serce moje zdołałoby znieść ciosy, na samo wspomnienie których truchleję już cała. Władysław to przewidywał, i widać bojąc się o mnie, prosił żebym zaniechała zamiaru, który ojca, brata, mnie i naszych dobrych ludzi może przyprawić o zgubę. Dobry Władysław! wiem, że jemu głównie o mnie chodziło.

(po namyśle). Ale czy doprawdy zrobiłam źle? czyż cel nie odpowiada wielkości ofiary? czyż kraj nasz cały nie jest Kalwarją, na któréj ciągle płynie krew dla najświętszéj sprawy? mamyż my prawo unikać męczeństwa, a ja chronić się przed boleścią, która uciska serca tylu sióstr, żon, matek?

O nie! sumienie mówi, że spełniłam obowiązek Polki, śmierci ich opłakiwać nie będę, bo potrafię umrzeć razem z nimi!

Zresztą, czyż koniecznie ma nas spotkać nieszczęście, zniesiemy go gdy nadejdzie, ale przecież mamy środki ratunku, sposoby uniknienia go.

Zygmunt strzedz i ratować nas przyrzekł. O i jego przysługę teraz w całéj donioslości poznaję. Szlachetny postępek, i wart wielkiego uznania.

SCENA V.

ZOSIA, ZYGMUNT.

Zosia. A, dzień dobry! właśnie w téj chwili o panu myślałam.

Zygmunt. Nie umiem wypowiedzieć, jak mnie szczęśliwym czyni ta łaskawa pamięć o mnie! Ja wywzajemniam się chojnie, bo odkąd tu jestem, ani na chwilę nie przestaję myśleć o pani.

Zosia *(zdziwiona — n. s.)* Jak on do mnie mówi.

Zygmunt. Po wczorajszéj naszéj rozmowie, szukałem stosownéj chwili, ażeby wypowiedzieć uczucia, jakie pani w mojém sercu wzbudziłaś. To łaskawe powitanie wskazuje mi tę pożądaną chwilę i robi mi nadzieję, że raczysz mnie wysłuchać i zechcesz podzielić życie z człowiekiem, który w tobie widzi swoje zbawienie i szczęście.

Zosia *(usuwając rękę, którą Zygmunt chce ująć)*. Nie rozumiem pana i nie chcę rozumieć, bo musiałbyś pan wiele stracić w mojém przekonaniu.

To co słyszałam wolę uważać za żart jakiś niewczesny, lub wreszcie za chwilowe zapomnienie się. W imię sprawy łączącéj nas, nawet gotowa jestem puścić to w niepamięć, bylebyś i pan ze swojéj strony szczerze postanowił nie wznawiać więcéj tak przykréj dla nas obojga rozmowy *(odchodzi)*.

Zygmunt. Panno Zofio, chwilkę jeszcze.

Zosia. Wierzaj pan, że w téj chwili lepiéj będzie, jeżeli odejdę. Wrócę niedługo.

Zygmunt. Zmiłuj się pani, zostań, pozwól jeszcze parę słów powiedzieć.

Zosia. Jeżeli one mają być podobne do tych, które przed chwilą słyszałam, to pozwól pan sobie powiedzieć, że zważając na osobistość naszą i położenie, one mnie tylko obrażać mogą. Zresztą, w żadnym razie bez wiedzy ojca słuchać ich nie powinnam i nie będę.

Zygmunt. Więc upoważniasz mnie pani udać się do ojca?

Zosia. Mylnie pan sobie słowa moje tłumaczysz, i ażeby raz na zawsze z tą rzeczą skończyć, muszę panu jeszcze do tego co powiedziałam dodać: że jakkolwiek nie pojmuję co pana mogło skłonić, co upoważnić do czynienia mi podobnych oświadczeń, najsolenniéj pana zapewniam, iż się do nich nigdy, chociażby to odemnie saméj tylko zależało, nakłonić nie będę mogła *(odchodzi)*.

Zygmunt. Strzeż się pani! mam w rękach wolność i życie wasze, nie przyprowadzaj mnie do ostateczności!

Zosia. Co pan mówisz? uszom moim nie wierzę! Miałżebyś obiecane przysługi, które stały się już obowiązkiem twojego panie honoru, czynić zależnemi od jakiegoś przemijającego uczucia?

I to teraz, kiedy one już dokonane w połowie?

Zygmunt. Ja nie wiem co mną w téj chwili *(gwałtownie)* kieruje, ale czuję w głowie, w piersiach przerażający ogień, nie wiem czy to miłość, czy szaleństwo, ale ja ciebie pragnę, ja cię muszę mieć.

(Zofia ze zgrozą oddala się).

Pani, jeżeli odejdziesz, wydasz tém wyrok śmierci na nich.

Zosia *(z oburzeniem)*. Panie, to co mówisz jest tak okropne, tyle w tém potwornéj zgrozy, iż myślę, że chyba

Bóg mnie lub tobie zmysły pomieszał. Mówisz o śmierci ojca, brata — śmiałżebyś żądać, abym hańbą moją ich życie okupiła?

Zygmunt. Być moją żoną hańbą pani nazywasz?

(Dalszy ciąg nastąpi).

O NIEKTÓRYCH POŁOŻENIACH NADBRZEŻNYCH WISŁY.

(Z rysunkami i tekstem Ludwika hr. Grabowskiego).

(Dokończenie).

Gęsty kląb otacza widza, i z wysileniem śledzi, zkąd dochodzą te niezwkłe akordy, te jakby brzmienia harfy eolskéj, te ossyaniczne czy alpejskie echa, aż wtem zasłona sie przerywa, i odrazu u stóp swych spostrzegasz czystą szybę szerokiéj łachy, olbrzymami nadwiślańskiemi ocienioną, po któréj lśniące smugi ukradkiem przedzierających się promieni zachodzącego słońca, złotem trząsące światełka rzucają. Tu widzisz skalisty brzeg malowniczy, tysiącem wijących się roślin zdobny; niżéj sękate pnie odwiecznych sokor, których wierzchołki liściem stóp swych dosięgają; daléj przyświetla prześliczna budowa pośród oceanu zieleni. Odłamy przedpotowych granitów, jakby pracą tytanów zwalone w malowniczym nieładzie, służą niby za podporę temu gmachowi; daléj za łachą obszar najpiękniejszéj łąki, na któréj spostrzegasz różnobarwne bydło; a dla uzupełnienia tego miłego krajobrazu umiejętnie zarządzone wycięcia pośród gęstwiny lasu na kępie utworzyły wklęsłość, w któréj głębi, jakby w olbrzymich ramach ciemnéj roślinności, przedstawiają ci się w fioletowych barwach, zachodzącém słońcem oświetlone ruiny zamku i wieży w Kazimiérzu, których złocista białość jasno odbija się na tle mdławém i zwykle już zaciemnioném horyzontu przeciwległego zachodowi.

Widok ten nieporównany. Słabe jego naśladownictwo ośmielam się tu przedstawić.

Jadąc daléj ku Kazimiérzowi i minąwszy Marynki, wjeżdża się do wsi parafialnéj Włostowic. Posiadłość ta odznacza się wykwintnym porządkiem, ładnemi ogródkami starannie utrzymywanemi i wybornemi owocami, które to zalety prawdziwie wzorem ją czynią. Po lewéj stronie Włostowic, ciągnie się w niejakiém oddaleniu pasmo wzgórz zarosłych różnorodnemi krzewami, poprzerzynanych głębokiemi wąwozami, które im bardzo malownicze nadają piętno.

Bo istotnie wąwozy w Lubelskiem, pośród wzgórz z opoki i gliny złożonych, spadem wód wyżłobione przedstawiają nam wąwozy gór prawdziwych, z tą różnicą że zamiast skał niepożytych, ściany ich tworzy miękka opoka lub ścisła glina, których kształty zmieniają się często z powodu roztopów śniegowych i nawałnic, lecz które niemniéj są malownicze, łącząc w sobie rozmaitość kształtów z roślinnością bujną i różnorodną.

Najwyższą potęgę piękna w tym rodzaju przedstawia wieś Parchatka, rozrzucona na samym krańcu wysokiego wzgórza i poprzerzynana głębokiemi parowami, których odłamy ścian kolosalne przedstawiają rozmiary.

Kręta ścieżka pośród tych rozpadlin i urwisk, prowadzi do szczytu góry, z któréj wspaniały rozwija się widok. Z pomiędzy pni lasu sosnowego i grabowego, z umysłu w tém miejscu przerzedzonego, spostrzegamy bieg Wisły i coraz wyżéj piętrzące się góry, aż ku Kazimiérzowi; naprzeciw dość wyniosły brzeg lasem okryty i wieś Nasiłów, jakby przylądek jaki na stromém i ostrém urwisku wsuwająca się do Wisły, a zdala wychylają się ruiny Janowca.

Widok ten trudny jest do zdjęcia, bo zaletę jego stanowi pierwszeństwo tonów, harmonia półcieni i barw różnorodnéj mozajki pól i krzewów pokrywających wzgórza, tony białawe wapiennych opok, na których sterczą zwaliska Kazimiérza i Janowca, oraz horyzont mgławy oddalenia, w którym gubi się coraz to mniéj widoczna Wisła.

Droga od Parchatki do Kazimiérza biegnie tuż pod stopami wzgórz nadbrzeżnych, i wysadzona jest aleą topolową, która nadaje jéj piętno niezwykłe. Wzgórza te są jakby niememi świadkami szerokiego kiedyś łożyska przedpotopowéj Wisły i stanowią w téj okolicy granice jéj panowania.

Że istotnie w przedhistorycznych czasach nurty jéj mogły szerzéj ściekać, dowodem tego muszle obficie napotykane u podnóża wyż rzeczonych pagórków i w szczątkach osteologicznych zwierząt przedpotopowych, znajdywanych w gruntach, obecnie brzegi Wisły stanowiących.

Piękne te okazy zebrał jeden z uczonych profesorów instytutu.

Czy wiedziony przeczuciem, czyli też wskazaniami nauki, po jednym ze znaczniejszych wylewów udał się na eksploracją brzegów oberwanych i bogate zebrał żniwo. Gdzie się obecnie te okazy znajdują, nie wiem, lecz pewnie zmarnowane nie zostały . . .

a. δ. **Kronika.** — *Miasto nasze nie wymarło — Koncerta w Schützengartenie. — Zjazd lekarzy i przyrodników. — Katastrofa na giełdzie — Budki.*

Kraków zaczyna się znowu pomału zaludniać. Uśpione przez porę *wodnych* miesięcy życie, budzi się — a najlepszym dowodem cyrkulacji miejskiego ruchu jest linja AB. pełna spacerujących, którzy nieraz aż do późnego wieczora przeciągają zwykłą krakowską defiladę.

Nawet ogród Strzelecki milczący tak długo w skutek niepogody i braku konsumujących słuchaczy . . . . temi dniami odważył się na ogromne *salto mortale* i dał nam dwa koncerta!

Teatr rozpoczynający *saison* zimowy, zjazd lekarzy

z całego świata wraz z *przyrodnikami*, którzy w naszem mieście debatować mają nad . . . rzeczami zapewne ściśle naukowemi. — Słowem, wszystko zapowiada nam jeżeli już nie koniec świata, to przynajmniéj schyłek owéj martwéj pory, pełnéj najpyszniejszych owoców, ale najnudniejszéj zarazem.

Jedném atoli z miejsc, gdzie zapewne nie tak prędko zawita radość i wesele — jest giełda tutejsza.

Płacz i zgrzytanie zębów od zeszłego tygodnia trwa nieustannie.

Nieubłagana fortuna, zamiast spodziewanych miljonów, między spekulantów i szulerów giełdowych rozdzieliła smutne doświadczenie i rozczarowanie.

Gdybym był człowiekiem, który posiada jaki-taki wpływ na losy świata — na drzwiach téj świątyni szczęścia i szachrajstwa kazałbym ogromnemi literami wypisać, jedno doskonale przysłowie: *dopóty dzban wodę nosi, dopóki — papiery nie spadną!*

Nic pocieszniejszego, jak zafrasowane miny owych panów spekulantów, którzy ciesząc się naprzód zdobytą łatwo i *bez pracy* fortuną, dzisiaj znaleźli się i *bez procentów wiedeńskich*, i bez własnego, nieraz zapracowanego ciężko kapitału. Nieszczęście podobne to ma do siebie, że nawet nie wzbudza współczucia. Potrzeba bowiem być bardzo lekkomyślnym i bardzo chciwym grosza, aby na spekulacji giełdowéj hypotekować szczęście całéj nieraz rodziny.

Poleciwszy zatém Opatrzności losy krakowskiéj giełdy, która zapewne przez wzgląd na opłakany stan graczy, podniesie kurs *lombardów;* zwracamy się z najczulszém podziękowaniem do Municypium kr. głów. miasta Krakowa, za zniesienie szeregu brzydkich budek, ustawianych obok bramy Florjańskiéj a zasłaniających widok na Kleparz. Budki te, jak niedobitki z czasów św. pamięci pierwszego Piasta, wytrwale walczyły o lepsze z Sukiennicami.

Rzeczywiście, jestto czyn heroiczny, mówiący wiele na rzecz dbałości o estetyczną stronę miejskiego gospodarstwa, a gdybyśmy jeszcze spodziewać się mogli, że Magistrat postara się o wystawienie nowych kramów, odpowiedniejszych wymaganiom smaku naszego stulecia, natenczas chętnie uwierzylibyśmy w rzeczy, które tylko jako cuda u *nas* oglądać można.

*** Wyszedł Ner 1-szy *Kurjera Lwowskiego.* Jak na zbieracza nowin, który co dwa tygodnie ma podawać wiadomości bieżące — format, jest cokolwiek za skromny.

*** „Djabeł“ piąty już raz pokazał się publiczności naszéj, która coraz bardziéj zaczyna się przekonywać, że to jéj własne dziecko — złośliwe i nieprzebaczające nikomu. — A tak szybko rośnie sympatja dla złego ducha, że niedługo „Djabeł“ stanie się jednym z pierwiastków powietrza — nieodzownym do życia. Ci tylko, którzy zasłużyli sobie na szatańską chłostę, z ukosa patrzą na „Djabła“ ale czytają go i prenumerują pilnie — przez wzgląd że niezawodnie w następnym numerze wyczytają co ciekawego na swoich najserdeczniejszych przyjaciół.

*** Dzisiaj na pierwsze przedstawienie teatru krakowskiego, graną będzie komedja w 5-ciu aktach, napisana p. J. Korzeniowskiego, pod tyt.: „Majątek albo imię.“

Korespondencja „Kaliny.“

Pani **Jord.** w Przemyślu. — Brakujące numera wysłaliśmy po raz **trzeci**. Jeżeli dalsze numera ginąć będą, prosimy reklamować, a postaramy się o to u Dyrekcji poczt— aby droga do Przemyśla była więcéj *bezpieczną* dla „Kaliny.“

P. **Józefowi** we Lwowie. — Przepraszamy. Ale z powodów, które pan sam najlepiéj zrozumiesz, korespondencji nie wydrukujemy.

Kierujący Redakcją, Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Osoba będąca w możności udzielania gruntownych początków muzyki za skromném wynagrodzeniem, poszukuje lekcji

Wiadomość w redakcji „Kaliny“ pod adresem: **T. K. J.**

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*